

Biuletyn Międzynarodowy
Instytutu Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych
Uniwersytetu Jagiellońskiego

Redakcja: Piotr Bajor (red. naczelny), Olga Plaze, Patrycja Lipold
Opiekun naukowy: dr hab. Michał Chorośnicki, prof. UJ.
Kontakt: ul. Jabłonowskich 5, 31-007 Kraków
e-mail: biuletyn@inp.uj.edu.pl

Nr 22 (22), listopad 2008

Maciej Turek

Stany Zjednoczone po wyborach prezydenckich 2008

Gdy w lutym 2007 r. Barack Obama ogłosił swój start w wyborach prezydenckich, wielu jego późniejszych wyborców przyjęło tę deklarację z niedowierzaniem. Ledwie 2 lata wcześniej Obama rozpoczął swoją pierwszą kadencję w amerykańskim Senacie, nie posiadał żadnego doświadczenia w sprawowaniu władzy wykonawczej, nie przekroczył jeszcze pięćdziesiątki. Okazało się jednak, że dzięki sprzężeniu wielu czynników Obama idealnie wykorzystał swój moment. Cztery lata temu mało kto o nim słyszał. Za kolejne cztery albo pojawiliby się nowi liderzy, albo urzędujący prezydent byłby za silny, by Obama mógł marzyć o pokonaniu go w walce o nominację czy prezydenturę. Póki co, prezydentem elektem jest Barack Obama, i dziś chyba mało kto w Ameryce wierzy, że potrafi stawić mu czoła. Zwycięstwo Obamy jest zarazem historyczne i symboliczne. Oto Ameryka dopełnia spuściznę Proklamacji Emancypacji Lincolna, a być może nawet wreszcie zmywa z siebie grzech pierwotny niewolnictwa. Z drugiej strony na naszych oczach pęka kolejna bariera, mantra wedle której jedynie biały mężczyzna może odnieść sukces w amerykańskich wyborach prezydenckich.



Choć to zwycięstwo i prowadząca do niej kampania będą jeszcze długo studiowane i analizowane, wszystkich czynników, które zdecydowały o sukcesie Obamy wskazać nie sposób – wszak zawsze na decyzję wyborczą każdego obywatela składa się wiele elementów**.** Dodatkowo, obok pytania „dlaczego Obama wygrał?" należy też postawić inne – „dlaczego John McCain przegrał?". Strategię wyborczą bowiem zawsze określa się biorąc pod uwagę przeciwnika, jego siły i słabości, jego potencjał i organizację.

Po stronie Obamy, a właściwie całej Partii Demokratycznej – gdyż prócz zwycięstwa w wyborach prezydenckich Demokraci zyskali również 7 miejsc w Senacie (obecnie 58 do 41 na korzyść Partii Demokratycznej) oraz 21 Izbie Reprezentantów (257 do 178) – stał niewątpliwie tzw. kontekst wyborczy. Na kontekst ów, jeden z ważniejszych drogowskazów dla każdego kandydata, wyborcy i stratega, składają się takie czynniki jak sytuacja gospodarcza czy międzynarodowa. A ponieważ te wymagają jak najszybszej, dramatycznej zmiany kursu, stosunkowo łatwo było wskazać winnych takiego stanu rzeczy. Już w połowie 2007 r., w lipcowo-sierpniowym numerze prestiżowego *Foreign Affairs*, Obama potępił Busha za fatalne w skutkach słowa i czyny, i nawoływał do zmian, które przywróciłyby Stanom Zjednoczonym ich tradycyjną rolę lidera i głównego rozgrywającego polityki międzynarodowej[1]. Według Obamy, jeśli nowy prezydent pochodził będzie z Partii Republikańskiej, to oznaczałoby de facto trzecią kadencję i zielone światło dla polityki George'a Busha. Brak odcięcia się od Busha i przyjęcie przez McCaina w kwietniu 2008 r. poparcia od kończącego wkrótce swe urzędowanie prezydenta to jeden z błędów kampanii Republikanów. O ile innym kandydatom byłoby raczej ciężko odmówić przyjęcia takiego poparcia, to wydaje się, iż McCain zwłaszcza w świetle wydarzeń w Południowej Karolinie podczas republikańskich prawyborów w 2000 r., byłby do takiego ruchu jak najbardziej uprawniony. Tymczasem z jednej strony odcinanie się od polityki administracji, z drugiej przyjęcie jej poparcia nie przyniosło raczej McCainowi niezbędnych głosów.

Idąc w przeciwnym kierunku, zarówno rywalka Obamy z prawyborów Hillary Clinton, jak i John McCain, starali się kreować obraz Obamy, jako polityka zbyt niedoświadczonego, by móc stać się liderem wolnego świata. W kampanii jesiennej, gdy okazało się, że wobec postępującego kryzysu ważnym tematem będzie gospodarka, Obamę obwołano jeszcze liberałem, a więc „socjalistą". O ile jednak walkę na hasła McCaina i Obamy uznać można za remisową (co było szczególnie widoczne podczas debat telewizyjnych), to gdy idzie o wyborczą machinę,

[1] B. Obama, *Renewing American Leadership*, ,,Foreign Affairs", Vol. 86, No. 4, July-August, 2007, pp. 2-16



bezapelacyjne zwycięstwo odniósł senator z Illinois. Kluczem do jej skuteczności była praca u podstaw – biuro w każdym hrabstwie każdego stanu, nawet takiego, o którym wiadomo, że w Kolegium Elektorów padnie łupem Republikanów. Jednakże nawet w takich miejscach były osoby gotowe wesprzeć Obamę finansowo. To właśnie tym, którzy ofiarowali na rzecz kampanii 5, 10 czy 20 dolarów, dziękował Obama w pierwszym przemówieniu już jako prezydent elekt. Miał za co, ponieważ w przeważającej mierze jego machina została sfinansowana właśnie z takich datków. Z oficjalnego sprawozdania finansowego, jakie sztab Obamy przedłożył FEC (Federal Election Commission) wynika, iż kampania zgromadziła na swym koncie ok. 750 mln dolarów.

Obama, choć nie ma bogatego doświadczenia politycznego, to jest jednak osobą, która potrafi wsłuchać się w problemy zwykłych ludzi. To ta umiejętność, połączona z niezwykłym talentem oratorskim i ogromną charyzmą spodobała się wyborcom już podczas prawyborów. Rok temu o tej porze za zdecydowanego faworyta po prezydencką nominację Partii Demokratycznej uznawano Hillary Clinton. Jednakże zwycięstwo w Iowa oraz nieznaczna porażka w New Hampshire pozwoliły Obamie zostać w krótkim czasie czarnym koniem w prawyborach Partii Demokratycznej. Gdy po super-wtorku 5 lutego nie został wyłoniony zwycięzca, rozpoczął się triumfalny pochód Obamy po nominację. Podczas gdy zwyciężył on następnie w kilkunastu prawyborach pod rząd, kampania Clinton utknęła w martwym punkcie. Nie dość, że pani senator dwukrotnie wymieniała osoby odpowiedzialne za dalszą strategię, to jeszcze znalazła się w dołku finansowym. Najwyraźniej sztab Hillary nie docenił Obamy, który stopniowo acz regularnie rósł w siłę. W tym samym czasie John McCain był już pewny swej nominacji, co było niespodzianką także i dla niego samego. Nie wiedzieć czemu, zdecydowany faworyt Republikanów Rudy Giuliani popełnił strategiczny błąd nie biorąc udziału w prawyborach w Iowa i New Hampshire, i nie był już później w stanie nadgonić straconego dystansu. Posiadający wiele cech idealnego kandydata Mitt Romney okazał się „niewybieralny", a Mike Huckabee dla prawyborców republikańskich zbyt egzotyczny. Zatem bardzo szybko, bo de facto dzień po super-wtorku, było u Republikanów po wszystkim. Za szybko. Gdy John McCain oczekiwał na rozwój wypadków, Obama zyskiwał kolejnych delegatów, przeciągał na swą stronę super-delegatów uprzednio zapowiadających poparcie Hillary Clinton, budował swoją organizację, stawał się coraz bardziej rozpoznawalny na arenie krajowej i międzynarodowej. Nie musząc zabiegać o niczyje poparcie, obóz McCaina nie identyfikował potencjalnych zwolenników i przeciwników, nie sprawdzał jak na niektóre hasła i zapowiadane programy reagują obywatele, o których głosy prędzej



czy później i tak trzeba będzie powalczyć. Ponadto szybko zakończona kampania u Republikanów sprawiała, że wielu wyborców, zwłaszcza młodych lub tych głosujących po raz pierwszy, chcąc mieć coś do powiedzenia rejestrowało się do głosowania w jeszcze nierozstrzygniętym wyścigu – w tym wypadku w prawyborach Partii Demokratycznej. Większość z nich została z kandydatem, a na pewno z tą samą identyfikacją partyjną do jesiennego głosowania. Dodatkowo, podczas długotrwałej kampanii prawyborczej „wypłynęły" tematy, które potencjalnie mogłyby stać się istotnymi elementami w walce przeciw senatorowi z Illinois. Gdy jednak kontrowersje wokół osoby wielebnego Wrighta („Boże, przeklnij Amerykę"), żony kandydata Michelle Obamy („po raz pierwszy w moim dorosłym życiu jestem dumna z mojego kraju") czy też samego Obamy („mieszkańcy Pensylwanii są zgorzkniali, ponieważ uporczywie trzymają się broni i religii") przebrzmiały jako fakty medialne już w połowie kwietnia, tematy do kampanii negatywnej przeciw Barackowi Obamie właściwie wyczerpały się. Tym bardziej, że John McCain zabronił swojemu sztabowi ataków na Obamę ze względu na rasę czy też brak odbycia przez niego służby wojskowej. Co prawda, można było usłyszeć historie o przyjaźni Obamy z terrorystami czy też o tym, iż jego drugie imię to Hussein. Na tę drugą zaczepkę senator z Illinois nie odpowiedział w ogóle, a wobec pierwszej przytomnie zauważył, że w okresie działania Williama Ayersa w radykalnej organizacji The Weather Underground był kilkuletnim chłopcem. Niemniej jednak, kampania negatywna nie była aż tak ostra jak można by się spodziewać.

Równie istotnym czynnikiem na drodze do prezydentury, a powstałym w wyniku długiej kampanii prawyborczej, była przemiana w świadomości tzw. przeciętnych Amerykanów. Przed rozpoczęciem prawyborów Obama wydawał się interesującym kandydatem, jednak zbyt niedoświadczonym by ubiegać się o prezydenturę. W miarę jednak trwania wyścigu zyskiwał coraz więcej zwolenników, a tuż przed konwencją Demokratów w Denver był już faworytem. Ta zmiana świadomościowa z całą mocą dała znać o sobie w chwili, gdy John McCain zdecydował się nominować jako swojego kandydata na wiceprezydenta gubernator Alaski Sarę Palin. To pani gubernator, a nie Obamie wytykano brak doświadczenia politycznego. To wizja Palin, jako lidera wolnego świata, w przypadku gdyby coś stało się prezydentowi McCainowi, nie przysporzyła zwolenników Republikanom, choć gdyby porównać doświadczenie polityczne Palin i Obamy, to wyszłoby chyba po równo, o ile nie ze wskazaniem na panią gubernator. Jednakże po prawyborach, gdy Obama był widoczny w każdym stanie, gdy jego reklamówki wyborcze pojawiały się we wszystkich kanałach telewizyjnych, gdy z zachętą do głosowania na



kandydata Demokratów wykonywane były niezliczone telefony i wysyłane maile, wielu Amerykanów po prostu przywykło do możliwej wkrótce wizji prezydenta Obamy. Inna sprawa, że w wielu przypadkach Palin dawała okazję mediom do wyliczania jej gaf: drogich strojów, braku orientacji w polityce zagranicznej, mało naturalnego w jej wykonaniu występu podczas debaty wiceprezydenckiej czy też najpoważniejszej gafy, gdy w jednym z wywiadów pani gubernator nie potrafiła wymienić nazwy gazet, które czyta. Na jej tle Joe Biden, obecnie wiceprezydent-elekt, wyglądał jak mąż stanu. Wybór tego senatora z trzydziestosześcioletnim stażem, od 1975 r. członka wpływowej senackiej komisji ds. polityki zagranicznej, został dokonany dla zniwelowania braku doświadczenia Obamy w sferze relacji międzynarodowych. Biden być może bezpośrednio nie przysporzył zbyt wielu głosów Obamie, ponieważ Amerykanie głosując na prezydenta raczej nie biorą pod uwagę kto zostanie drugą najważniejszą osobą w państwie. Jednak dla wielu wyborców niezdecydowanych para Obama-Biden wydawała się bardziej bezpieczna niż McCain-Palin. Poza wszystkim, wybór Palin nastąpił w wyniku jedynie czystej kalkulacji wyborczej, a nie dla celów długofalowych – trudno byłoby oczekiwać by w razie sukcesu McCaina pani gubernator pełniła ważniejsze niż ceremonialne funkcje. Należy jednak pamiętać, że gdy idzie o cele taktyczne, wybór Sary Palin był jednym z najlepszych z możliwych.

Co prawda najlepszą z wyborczego punktu widzenia osobą do fotelu wiceprezydenckiego byłby Romney (doświadczenie biznesowe i gubernatorskie; popularność wśród konserwatystów, tradycyjnej bazy zwolenników Partii Republikańskiej; w chwili rezygnacji z prowadzenia kampanii prawyborczej najlepsza organizacja wyborcza), jednakże na drodze do takiej nominacji stanęła osobista niechęć McCaina do tego byłego gubernatora stanu Massachusetts. Wybór Palin nastąpił z kolei ze względu na jej liczne, istotne dla strategów wyborczych cechy. Jako kobieta, miała apelować do tego właśnie elektoratu, jako gubernator zapewnić doświadczenie w sprawowaniu władzy wykonawczej (*executive experience*), jej młodość miała być przeciwwagą dla wieku McCaina, a mała rozpoznawalność gwarantować pojawienie się na scenie nowej, młodej gwardii Partii Republikańskiej, która apelowałaby do tych zwolenników Republikanów, którzy zmęczeni byli polityką urzędującego prezydenta. Istotnie, przez długi czas po nominacji wydawało się, że Palin może zostać pierwszym kandydatem na wiceprezydenta w historii, który zapewni swemu obozowi wprowadzenie kandydata do Białego Domu. Tuż po jej nominacji w sondażach przeprowadzanych przez Instutut Gallupa notowania Republikanów znacząco poszybowały w górę, i długo nie spadały, co oznaczało, iż wzrost ten nie był spowodowany jedynie przez uzyskane po konwencji tzw.



momentum.[2] Nominacja Sary Palin zdecydowanie tchnęła w kampanię McCaina nowego ducha.

Jednakże od połowy września nastąpiła seria wydarzeń, która wstrząsnęła nie tylko Wall Street i Main Street, ale i kampanią Republikanów. Spektakularne bankructwa instytucji inwestycyjnych połączone ze spadkami głównych giełdowych indeksów ponownie przypomniały Amerykanom, kto jest tej zapaści gospodarczej winien. Dodatkowo, po upadku Lehman Brothers, John McCain stwierdził, iż „fundamenty naszej gospodarki są bardzo mocne", by po kilku godzinach zmienić zdanie i przyznać, że jednak problemy są bardzo poważne. Co gorsza, na dwa dni przed pierwszą telewizyjną debatą kandydatów zapowiedział zawieszenie swojej kampanii i wezwał Obamę do stawienia się w Waszyngtonie i Nowym Jorku dla prowadzenia rozmów w celu ratowania amerykańskiej gospodarki. Obama bardzo przytomnie odpowiedział, że kampanii nie zawiesi, ponieważ jedną z podstawowych cech sprawowania urzędu prezydenckiego jest zajmowanie się wieloma trudnymi sprawami w jednym czasie. McCain na debatę ostatecznie się stawił, jednak wraz z kolejnymi debatami jego sytuacja wyglądała coraz trudniej, a wszystkie sondaże jednoznacznie wskazywały kto zostanie zwycięzcą 4 listopada.

Warto również podkreślić, że Obama miał przewagę organizacyjną, finansową, a także przemawiał za nim kontekst wyborczy. Prowadził również w sondażach, a także, zdaniem wielu zewnętrznych analityków i komentatorów był faworyzowany przez amerykańskie media. W tej sytuacji wielu uznałoby wyścig za skończony. Jednak w tych wyborach był też element niepewności: rasa. Mimo całej przewagi Obamy nie wiadomo było czy w ostatecznym rozrachunku góry nie weźmie tzw. głosowanie rasowe (*voting race*). Przesłanki ku temu istniały jak najbardziej. Tak zwany *efekt Bradleya*, polegający na tym, iż czarnoskórzy kandydaci uzyskują w sondażach zawsze lepsze wyniki niż w wyborach, gdyż ankietowani boją się być posądzonym o rasizm, jest czynnikiem ogólnie znanym. Dodatkowo, istotny komentarz umieścił do swego sondażu wyborczego ze stycznia 2008 r. dziennik *The New York Times*. Otóż analizując sondaż, dziennik zwrócił uwagę, iż zadając właściwie to samo pytanie, a jedynie inaczej je formułując, otrzymano różne wyniki. Na pytania „Czy byłbyś w stanie oddać swój głos na czarnoskórego kandydata w wyborach prezydenckich?", „Czy myślisz, że inni ludzie byliby w stanie oddać głos na czarnoskórego kandydata w wyborach prezydenckich?" oraz „Czy uważasz, że obywatele Stanów Zjednoczonych są w stanie wybrać czarnoskórego

[2] Dla prześledzenia zmian wyników sondaży prezydenckich Instytutu Gallupa zob. *The American Presidency Project*, http://www.presidency.ucsb.edu/data/2008_general.php (28.10.2008)



prezydenta?". Otrzymano odpowiednio 90, 65 i 54 procent odpowiedzi pozytywnych[3]. Warto jednak zwrócić również uwagę, iż sondaż ten przeprowadzono w styczniu. W listopadzie okazało się bowiem, że bariera rasowa okazała się do przeskoczenia i 20 stycznia 2009 r. Barack Obama zostanie zaprzysiężony jako pierwszy czarnoskóry prezydent w amerykańskiej historii. Obama wygrał, gdyż zbudował znakomitą organizację wyborczą, jest charyzmatyczny i potrafi słuchać. Był w stanie zjednoczyć oficjeli i zwolenników Partii Demokratycznej w bardzo krótkim czasie po podziałach powstałych podczas prawyborów oraz zebrał więcej środków finansowych na prowadzenie kampanii. Uzyskał także więcej głosów publicznego poparcia (*endorsement*) od wpływowych ludzi (w zestawieniu z Warrenem Buffettem, Billem Clintonem, Colinem Powellem, Oprah Winfrey czy New York Times'em poparcie McCaina przez George'a Busha wygląda raczej blado). Jego kampania była w stanie wygenerować więcej spektakularnych wydarzeń, które zostały zrelacjonowane przez media w pozytywnym świetle, a za które nie trzeba było płacić. Gdy już trzeba było, sztab Obamy stać było na to, by na tydzień przed wyborami wyemitować o jednej porze w siedmiu największych stacjach telewizyjnych prawie 30-minutowy film reklamowy, prezentujący Baracka Obamę oraz jego program wyborczy. Na korzyść Obamy przemawiał też jego wizerunek zwykłego Amerykanina, który pielęgnuje wartości rodzinne, jest oddany pracy na rzecz biednych i pokrzywdzonych członków lokalnej społeczności, a także ojca rodziny, który dopiero dwa lata temu spłacił pożyczki studenckie. John McCain przegrał, ponieważ nigdy nie był ulubieńcem swojej partii, nierzadko przeciwstawiał się wielu jej dogmatom – m. in. głosował przeciw zaproponowanym przez administrację Busha cięciom podatkowym dla najbogatszych oraz poprawce konstytucyjnej, zabraniającej zawarcie małżeństwa przez osoby tej samej płci. Popierał wprowadzenie bardziej restrykcyjnych przepisów w zakresie ochrony środowiska oraz doprowadził do uchwalenia ustawy zaostrzającej zasady finansowania kampanii wyborczych przez biznes, co wielu na prawicy uznało za naruszenie wolności słowa. Wreszcie, w momencie pojawienia się impasu w sprawie nominacji na sędziego Sądu Najwyższego, zawarł porozumienie z Demokratami, które spowodowało później wycofanie się kandydata z ubiegania się o tę pozycję.[4] W rezultacie, musząc zabiegać o głosy także i konserwatywnych Republikanów, kampanii McCaina zabrakło koncepcji i środków na walkę

[3] The New York Times & CBS Poll, January 9-12, 2008, http://graphics8.nytimes.com/packages/pdf/national/01142008_pollgraphics.pdf, (10.11.2008)

[4] D. Kirkpatrick, *McCain's Critics on Right Look Again*, The New York Times, January 1, 2008



o wyborców niezdecydowanych. McCain przegrał również dlatego, że kontekst wyborczy stał zdecydowanie po stronie Demokratów**.** Po krótkich prawyborach Republikanie byli zdecydowanie w tyle w budowaniu lokalnych struktur, identyfikacji wyborców, sprawdzeniu w boju swego kandydata i jego pomysłów.

Po skończonej kampanii obydwaj kandydaci zwyczajowo podziękowali oraz pogratulowali sobie zakończonej rywalizacji. John McCain zaoferował współpracę dla dobra Stanów Zjednoczonych, Obama z kolei wyraził nadzieję, że historyczne zwycięstwo to dopiero początek na trudnej drodze do gospodarczej i międzynarodowej odbudowy pozycji państwa. Przede wszystkim jednak, obywatele oczekują od niego zmiany stylu prowadzenia polityki, stylu jaki preferowała administracja Busha. Może to być o tyle łatwiejsze, że Obama jako praktykujący intelektualista na pewno przed podjęciem istotnych decyzji nie pogardzi opiniami ekspertów gdy przyjdzie rozmawiać o niuansach i szczegółach proponowanych rozwiązań[5]. A będzie takich dyskusji sporo, ponieważ nową administrację czeka długa i żmudna praca dla wydźwignięcia państwa ze wszystkich problemów, przed którymi stoją Stany Zjednoczone. Najbardziej palącym wydaje się być gospodarka. Spadki na giełdzie już zaczynają się przekładać na sferę realną, a fachowcy podkreślają, że obecny kryzys charakteryzuje się poważniejszymi skutkami niż występująca cyklicznie dekoniunktura czy spowolnienie gospodarcze. Oprócz tego, przed administracją Baracka Obamy ogromne wyzwanie zmiany wizerunku Stanów Zjednoczonych w świecie. O ile Amerykanie zazwyczaj raczej bezkrytycznie popierali działania swojego rządu w polityce zagranicznej, o tyle zaczynają powoli przejmować się tym, że są coraz bardziej nielubiani w świecie. Dodatkowo, w ostatnich latach napiętrzyły się w USA problemy społeczne, takie jak edukacja czy służba zdrowia. Szacuje się, iż ubezpieczenia medycznego nie posiada około 40 – 50 milionów obywateli i zmiana takiego stanu rzeczy jest również jedną z wyborczych obietnic Obamy.

Trudno jednak oczekiwać od nowego prezydenta szybkich działań czy nawet deklaracji – szczegóły poznamy zapewne po przemówieniu inauguracyjnym oraz wystąpieniu przed połączonymi izbami Kongresu[6], które tradycyjnie uznawane są za najlepsze źródło informacji o zamierzeniach poszczególnego prezydenta i jego administracji. Co ciekawe, proces przejęcia władzy od urzędującej jeszcze administracji (*presidential transition*) rozpoczął się już nazajutrz po wygranych

[5] N. Kristof, *Obama and the War on Brains*, The New York Times, 9 listopada, 2008

[6] Tradycyjnie takie przemówienie nazywane jest jako Raport o stanie państwa (*State of the Union)*, jednak w roku inauguracyjnym nie nosi tak oficjalnej nazwy.



wyborach. Okazało się że Obama wzoruje się na swych wybitnych poprzednikach – Lincolnie, Roosevelcie i Kennedym – nie tylko w retoryce ale także w działaniu. Ważne stanowiska w swej administracji zaoferował swoim prawyborczym konkurentom – Hilary Clinton i Billowi Richardsonowi, a na stanowisku sekretarza obrony postanowił zostawić Republikanina Roberta Gatesa. Kierowanie się w nominacjach nie legitymacjami partyjnymi, ale kwalifikacjami to też jedna z zalet przypisywanych Barackowi Obamie. Tworzenie gabinetu stworzonego z najlepszych i najbystrzejszych (*the best and the brightest*) pokazuje też, że przed USA stoją istotne wyzwania, a przyszła administracja zamierza stawić im czoła.

Przyszłość pokaże czy doskonałą organizację wyborczą i charyzmę da się przekuć w skuteczne rządzenie i pokonanie trudności, które trapią osłabione nieco mocarstwo. Przemawiając tuż po swym zwycięstwie wyborczym, Obama określił swoje przyszłe rządy mianem „this is our moment". Moment to niezwykłe doniosły, a podziały w społeczeństwie podobne do tych, przed jakimi stał inny mieszkaniec Illinois, Abraham Lincoln. Obama w tym samym powyborczym przemówieniu stwierdził, iż wynik wyborów udowodnił, że Stany Zjednoczone to nie zbieranina stanów czerwonych i niebieskich, ale jeden naród, *E Pluribus Unum*. Jeśli uda mu się tym narodem pokierować tak skutecznie jak swoją kampanią, o przyszłość Ameryki można chyba być spokojnym. Jeśli Obamie uda się osiągnąć to co obiecał, być może kiedyś umieszczony zostanie wysoko w sporządzanych co pewien czas przez historyków amerykańskich rankingach prezydentów. W jednym z takich rankingów, przygotowanym przez zmarłego niedawno wybitnego historyka Arthura Schlesingera Jr., a obejmującym czasy od Waszyngtona do Clintona, za wielkich prezydentów uznaje się Lincolna, Waszyngtona i Roosevelta[7]. Każdy z nich sprawował swój urząd w innym stuleciu. Zapewne wielu Amerykanów życzyłoby sobie, by Obama został najlepszym prezydentem spośród tych zaprzysiężonych w XXI wieku.

[7] Zob. A. Schlesinger, Jr., *Rating the Presidents: Washington to Clinton*, "Political Science Quarterly", Vol. 112, No. 2 (Summer, 1997), pp. 179-190.